

№ 15 Rok XXI.

Dnia 1 (14) Kwietnia 1900 r.



WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Dzieci i Młodzieży.

W Wielką Sobotę.



Rys. dla Wieczorów R. Szwojnicki.

Święcone naszych małych przyjaciół.
Niech im służy na zdrowie!

Zofia Urbanowska.

ROŻA BEZ KOLCÓW.

Opowiadanie osnute na tle przyrody tatrzańskiej.

(Dalszy ciąg).

Herbata już była gotowa: górale zabrali się do nalewania jej w szklanki i roznoszenia, a czynili to zrećnie i szybko. Groom baroneta nie miał tu nic do roboty: rozłożył tylko paczkę biszkoptów i wydobyl butelkę madery, mającej zastąpić koniak. Dolewano jej tylko potrosze, bo było to wino stare i mocne. Sir Edward do jedzenia uprzejmie zapraszał, ale sam niczego nie dotknął. Pił tylko czystą herbatę małemi łykami, bardzo wolno.

Rozmowa toczyła się o górskiej przyrodzie. Walter z zapałem mówił o Szkocyi, a sir Edward spoglądał raz po raz przez lunetę w kierunku hali, gdzie spodziewał się dojrzeć profesora Stranda. Gdy słońce zaczęło się zniżać, baronet spojrzał na zegarek i wstał.

— Idźmy — rzekł — odszukać naszą zgubę, póki jeszcze dzień. Musimy dokładnie zbadać las do krzyża, gdzie straciliśmy go z oczu.

— Może pije mleko w szałasie na Smytnej i zagryza serem — zrobił uwagę Witold.

— Raczej poszedł nad staw Smereczyński, wiedziony instynktem badacza fauny głębinowej i szuka swego Brachiopoda — odezwał się doktor.

— I to być może: gdzież ten staw się znajduje?

— O kwadrans drogi od krzyża: ukryty jest w lesie, więc nie wielu turystów wie o jego istnieniu.

— Zatem chodźmy: wprawdzie nie jest jeszcze późno, ale niewiadomo, jak długo będziemy szukali profesora: „Komu w drogę temu czas!”

Malarz zdumionym wzrokiem spojrzał na baroneta i podniósł się wraz z innymi. Powiodło mu się: w teczce miał szkic upragniony, ale nie o nim myślał w tej chwili. Zkąd Anglik znał polskie przysłowia? To, które przytoczył, było dosłownem tłumaczeniem z polskiego.

Jeden z górali jako przewodnik szedł naprzód, drugi zamykał pochód. Gdy schodzić zaczęli, Henryk spojrzawszy na dół, zawołał radośnie:

— O, co ja widzę, gwoździk lodowy!

Wszyscy się obejrzel na ten wykrzyknik, a chłopiec zerwał różowy biały kwiatek o delikatnym zapachu, nie przypominającym woni gwoździków które żyją na równinach.

— *Dianthus glacialis* — objaśnił doktor, biorąc od niego roślinkę i pokazując sir Edwardowi. — Patrz pan jakie to skromne a jakie wdzięczne! A zkąd wiedziałeś Henryku, że on się zwie lodowym?

— Mówił mi pasterz, który nam wczoraj przyniósł bukiet takich samych gwoździków.

Baronet poraz pierwszy spojrzał uważniej na chłopca i powiedział odwracając się do wnuka.

— A ty, Dawidzie, nic nie zbierasz? nic cię nie interesuje?

Chłopiec zmilczał, bo i nie mógłby nawet w tej chwili odpowiedzieć. Usta miał pełne biszkoptów, któremi naładował sobie kieszenie. Wyraz niesmaku odmalował się na twarzy sir Edwarda i nie czekając odpowiedzi, począł schodzić.

Doktor rozglądał się z pewnym niepokojem po horyzoncie; cieszył się już nadzieją, że wbrew tradycyi opinie go deszcz w Kościeliskiej dolinie, ale mała drobna chmurka, wisząca nieruchomo ponad ich głowami, zaczęła go niepokoić.

— Może wytrzyma do wieczora — myślał — a może też wiatr tę chmurkę rozpedzi.

I wielki miłośnik przyrody, zaczął uważnie przypatrywać się roślinności pokrywającej stok góry tem obficie, im niżej zstępowali. Interesowały go szczególnie małe, drobne roślinki przy samej ziemi: były to listki Pierwiosnka, jednego z najmniejszych jakie istnieją, *Primula minima*. Zawołał na Henryka i pokazał mu tę osobliwość:

— Pierwiosnek ten zakwitnie dopiero za parę tygodni; ma śliczne jasno-purpurowe korony, znacznie większe od liści, czasem białe lub lila. Najwięcej jednak pierwiosnków kwitnie na wiosnę. One najpierwsze wychylają barwne główki z pod śniegu, i radują oczy ludzkie, stęsknione za ciepłem, słońcem i zielonością.

— W Tatrach w zimie nie tęskni się tyle za słońcem, ciepłem i zielonością, co na równinach — odezwał się Witold. — Świerki jeżeli tylko ich śnieg nie pokryje, są wiecznie zielone; słońce tyle daje ciepła, że w południe bywa czasem po 20 stopni Reaunura, a ja sam raz w Nowy rok wybrałem się na spacer na Gubałówkę i tak mi było gorąco, że aż musiałem zdjąć wierzchnie ubranie.

— A to wicie — wtrącił jeden z przewodników — musicie tu psysać wiosnom. Tedy to haw ładna dolina; wicie, na łąkach to tako: po rowak jescy śnieg się bieli a na trawie wysej pełno fiołeczków... takie ślicne co cud na świecie, jako kieluski naryktowane: jedne białe, drugie wicie niebieskie, to ik je tyle co gwiazd na niebie. To jedna pani z Warsiawy siedziała se u nas na zime i miała fiołeczki w donickak, ba syćkie płone; aze ja dopiro poseł do pola na fiatki i psynioslek jej cuhę pełniutkom, a ona pedziała, że to som jakoweś krakusy.

— Krokusy — poprawił Henryk.

— No, no, krokusy, to wicie jakie to je.

Wtem odwołał go doktor, wskazując nowe rośliny: Dzwonki, Jastruny, Wietrznice, Woskówkę.

Henryk, klękawszy na ziemi, wyjmował ostrożnie roślinki, aby korzeni nie uszkodzić; mały hrabia patrzył na to zajęcie z lekceważeniem. Jemu nie chciało się zadować sobie tyle trudu: miał wprawdzie ozdobną puszkę do zbierania roślin, ale ta ciągle była pusta, jeżeli nie służyła za skrytkę do łakoci. Nie lubił on dużo chodzić: nudził więc ciągle Waltera narzekaniem na zmęczenie nóg, to na ból głowy, to na bicie serca, i wyrażaniem swych obaw o przypuszczalne skutki tej wycieczki dla zdrowia. Wreszcie zarzekł się, że odtąd nigdy nie wyruszy w góry inaczej jak konno.

Gdy się spuścili na halę, sir Edward posłał górala do szałasów z zapytaniem o profesora, ale go tam nie widział. Malarz odezwał się, że należało się tego spodziewać, bo gdyby się tam znajdował, dojrzanoby go gołym okiem z Bystrej, zkąd halę widać jak na dłoni. Nie tracąc czasu, ruszono dalej ku lasowi Ornaku. Górale zaczęli hukac, nawołując czy profesor się nie odezwie, ale echo tylko odpowiadało. Weszli w las hukając ciągle. Nagle rozstąpiły się drzewa i znaleźli się nad stawem, który powinien czarnym się nazywać, tak ciemnymi są jego wody, tak ponure otoczenie z czarnych posepnych jodeł.

Pływało po nim kilka dzikich kaczek i te za zbliżeniem się turystów, wleciały w powietrze. Malarz żałował, że nie miał z sobą strzelby: przydałoby się świeże pieczone na kolację.



Pierwiosnek.

Primula minima.



Gwoździk lodowy.
Dianthus glacialis.

Zaczął się uważnie dokoła rozglądać, ale na razie nikogo nie dostrzegł, tylko nieco dalej między nadbrzeżnymi kamieniami zobaczył porzucony kapelusz, łaskę i rysujący się na ziemi wydłużony cień człowieka. Człowiek ten pochylony, zdawał się upatrywać czegoś na brzegu stawu.

— A, do licha! — zawołał — gdzie się pan podziwasz! Myśleliśmy już, żeś zabłądził.

— Czy pan co zgubiłeś? — zapytał sir Edward.
Profesor zaklął.

— A niechże was, moi panowie! Spłoszyliście mi śliczną Trąszkę alpejską, *Triton alpestris*. Patrzyłem na nią, jak wyszła z wody, a teraz schowała się gdzieś, między kamieniem. Tak długo na nią czekałem, i na nic cały trud!

— Jakże ta dama wygląda? skoro pan nazywasz ją śliczną — zapytał Witold.

— Niebieskawa, w ciemne punkciki, mój panie — odrzekł zadąsany — skóra chropowata.

— Bywają popielate i brunatne — wtrącił doktor.

— Ależ wyraźnie mówię, że ta była niebieskawa — upierał się profesor mocno zirytowany. — Nazwałeś ją pan damą zupełnie nietrafnie — dodał, zwracając się do malarsza. — Gdybyś widział jak pływawa w wodzie lekko i zwinnie, cofnąłbyś to wyrażenie. Żadna dama nie posiada tyle wdzięku!

Podniósł się niechętnie i zaczął szukać swoich okularów, które spadły mu, gdy siedział pochylony. Włosy miał w nieładzie, a krawat zwyczajem swoim na bok przekręcony.

— Oto są — rzekł sir Edward, podnosząc je. — Czemże tu żyje pańska trąszka, kiedy staw wygląda jak martwy. Nie widzę nawet żadnych nadbrzeżnych owadów, a na kaczki, wątpię aby trąszki polowały.

— Ma tu gąsienicę Komara, *Corethra pluviorum*, gąsienice Wążek, kilka gatunków Chrząszczów pływakowatych, a w razie koniecznej potrzeby, potrafi zjeść drugą trąszkę.

— A, to oburzające! Czy są tu jakie Skorupiaki?

Zauważyłem jeden gatunek, *Scapholeoris macronata*. Staw ten nie posiada warunków do rozwinięcia się bogatszego życia zwierzęcego, choć kaczki będące wybornymi roznosicielkami zwierząt, obdarzają go niezawodnie co rok kilku nowymi gatunkami.

— Idźmy ztąd, panowie — powiedział Witold — bo powietrze tu jest jakieś niezdrowe. Staw ten nie ma żadnego odpływu.

— Tak — odrzekł profesor — dno jego bezwątpienia pokrywa gruby pokład namułu, w którym gniją resztki roślin przynoszonych przez wiatr z otaczającego lasu; ztąd pochodzi ciemna barwa tej wody. Jest ona nasycona gazami wytwarzającymi się przy gniciu tych resztek, i dla tego to mimo znacznych rozmiarów i zaciśnionego położenia, staw Smereczyński jest tak ubogim w zwierzęta.

— A jednak uchodzi on w tych górach za osobliwość, wraz ze stawkiem Toporowym, znajdującym się w okolicy Jaszczurówki — odezwał się doktor.

— A to pod jakim względem? — zapytał Strand.

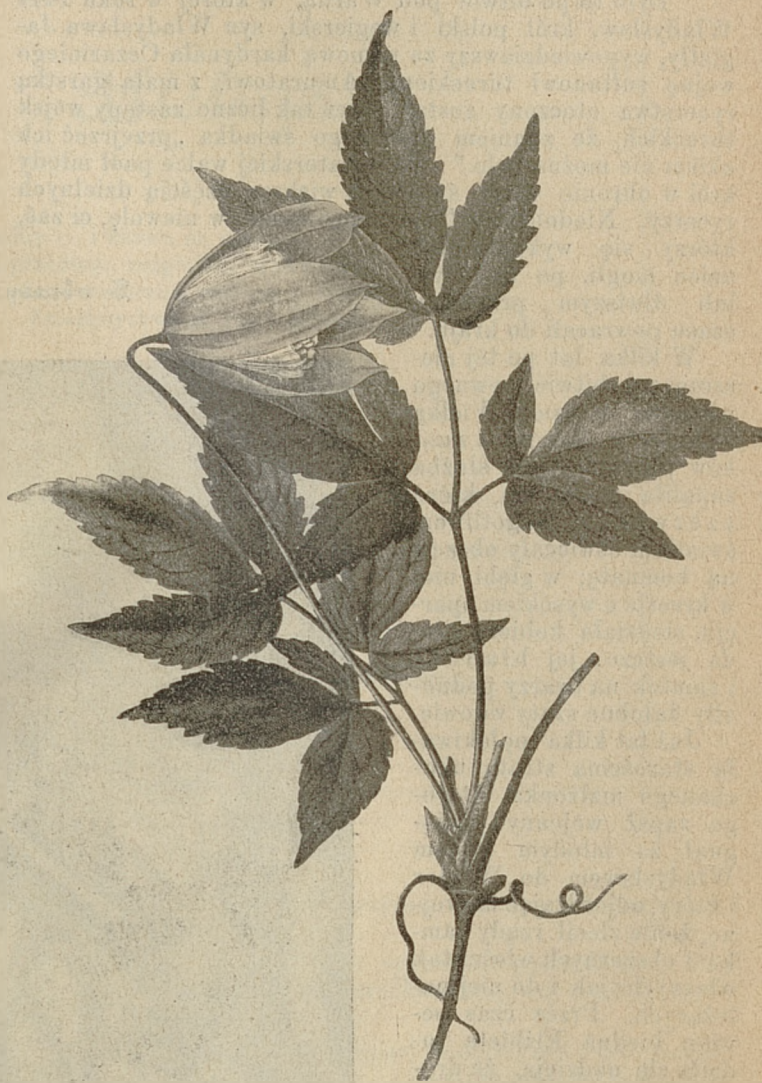
— Bo ma dno wapniowe, gdy wszystkie jeziora tatrzańskie leżą na granitach, co im też daje kryształową przezroczystość.

— Nie mam pretensji do takiej uczoności, jak profesor — mówił baronet, gdy zawrócili w las — ale skoro staw ten nie ma przypływu ani odpływu, zatem woda jego pochodzi tylko z topniejącego śniegu i ścieków deszczowych, jak wnoszę z jego nieruchomości. Przypuszczam więc, że tu nie ma pańskiego Brachiopoda.

— Ach, naturalnie. Brachiopod może żyć tylko na znaczniejszych wysokościach. Co do stawu, zdaje się że

on leży na gruncie moreny byłego lodowca — odrzekł Strand.

I zabierał się do przedstawienia teorii powstawania lodowców, ale doktor przeszkodził mu, wołając:



Powojnica alpejska, *Atragene alpina*.

— Patrzcie panowie, co za prześliczny okaz Powojnicy alpejskiej, *Atragene alpina*! Rodzina jaskrowatych, plenię *Anemonae*, Zawilcowe.

Wszyscy skupili się koło niego, a on ukazał im zwieszoną na gałęziach roślinę o dużych czteropłatkowych koronach błękitnej barwy, pnącą się niby bluszcz na drzewa, bogatemi w liście i kwiat splotami.

— Prawda, że piękna — potwierdził sir Edward, zrywając kwiat — warto ją zabrać do zielnika.

— Po szarotce, jest to bezwarunkowo najpiękniejsza w dziedzinie lasów roślina — powiedział Jakób. — Spotkać ją można dość często w Tatrach i Pieninach.

— A propos szarotek, moi panowie, albo ich tu jest u was większa obfitość niż w Alpach, albo też Towarzystwo Tatrzańskie rozmyślnie wyniszcza je pozwalając. Nie można się prawie opędzić chłopcom sprzedającym spore ich wiązki, a kwiaty wyrwane są po barbarzyńsku, z korzeniami.

— Istotnie, dotąd dzieje się to bezkarnie. Wszystko co zrobiono, ogranicza się na zasianiu szarotek w niektórych miejscach, i wzbronieniu chodzenia tam turystom.

(d. c. n.)

GOŚCINNOŚĆ.

Było to po bitwie pod Warną, w której w roku 1444 Władysław, król polski i węgierski, syn Władysława Jagiełły, wypowiedziawszy za namową kardynała Cezariniego wojnę sułtanowi tureckiemu Amuratowi, z małą garstką rycerstwa otoczony został przez tak liczne zastępy wojsk tureckich, że zdaniem naocznego świadka „przejrzeć ich okiem nie można było.” Po bohaterskiej walce padł młody król w obronie wiary świętej z większą częścią dzielnych rycerzy. Niedobitków Turcy uprowadzili w niewolę, ci zaś, którzy się wykupili lub uciec mogli, po krótszym lub dłuższym przeciągu czasu powracali do kraju.

W kilka lat po tej nieszczęsnej bitwie pewnego wieczora w samą Wielką Sobotę, w jednym z zamków pogranicznych służba zapaliła pochodnie, które czerwonym, migotliwym światłem oświecały obszerną komnatę; w głębi niej w krześle o wysokim oparciu, siedziała kobieta młoda jeszcze, jej bladeść i smutek na twarzy podnosiły żałobne szaty wdowie.

Już lat kilka opłakiwała starościna stratę ukochanego małżonka, którego zapal wojenny pociągnął za młodym królem Władysławem do Węgier i który, odjeżdżając na wojnę, żonie zlecił rządy zamku i obszernej włości tak własnych jak i do niej należących. Przez czas pewien biedna Elżbieta ludziła się nadzieją, że drogi jej małżonek nie zginął, posyłała ludzi z okupem, obiecywała nagrodę za wieści o mężu, ale gdy podstoli sąsiad, który również brał udział w wyprawie, powróciwszy po kilku miesiącach, oświadczył nieszczęśliwej wdowie, że mąż jej poległ na polu bitwy, że ducha wyzionał na jego rękach, straciła wszelką nadzieję i zamknęła się w zamku, nie chcąc widzieć nikogo. Jeden tylko podstoli miał dozwolony przystęp do niej, jako świadek śmierci męża, to też pozwolił zacząć rządzić całym majątkiem i mówiono, że chce się z bogatą wdową połączyć związkiem małżeńskim.

— Piotrusiu — zawołała owego wieczoru siedząca samotnie starościna na rumianego, o kędzierzawych włosach giermka, — każ mi przyprowadzić starościankę.

Chłopiec wybiegł spiesźnie i powrócił po chwili, a przed nim weszła do pokoju dziesięcioletnia Marychna, córka starosty.

— Pozwoli mi mama dzisiejszy wieczór z sobą spędzić? — pytała dziewczynka, całując ręce matki; — taki wicher straszny na dworze.

Starościna skinieniem głowy dała znak przyzwolenia.

— Dlaczego, mamu, nie chciałaś dziś przyjąć biednego pielgrzyma — pytała po chwili Marychna.

— Nie słyszałam o żadnym pielgrzymie — odparła matka zdziwiona.

— Piotruś mówił mi, że został odprawiony — utrzymywała uparcie dziewczynka.

Starościna zwróciła na giermka wzrok pytający.

— Byłem właśnie na wałach i widziałam, jak przed bramą stał pielgrzym — objaśnił chłopiec — pan podstoli jednak dał rozkaz, aby go nie wpuszczano. Pielgrzym odszedł z głową smutnie zwieszoną.

— Jakto? pan podstoli już jest w zamku! — zagadnęła z niedowierzaniem starościna.

— Przyjechał po południu, a nie chcąc przeszkadzać,

udał się tymczasowo do zbrojowni; przed wieczorą ma się, jasnie wielmożnej pani przedstawić.

— Zawołaj do mnie strażnika od bramy — rozkazała starościna głosem, zdradzającym niezadowolenie.

Niebawem wszedł człowiek wysokiej postawy z ponurem wejrzeniem.

— Bartłomeju — odezwała się starościna surowo — jak mogłeś nie słuchać rozkazów moich i broń komukolwiek z podróżnych wejścia do zamku. Ja jedna mam tu prawo wydawania rozkazów i nie pozwalam słuchać rozporządzeń pana podstolego. Idź odszukać odprawionego bez wiedzy mojej pielgrzyma i przyprowadź go zaraz do mnie.

Strażnik skłonił się z pokorą i wyszedł zafrasowany.

Podczas gdy Bartłomiej, przybrawszy kilku ludzi do pomocy, z zapalonymi pochodniami wyjechał na poszukiwanie wędrowca, w zamku czyniono przygotowania do wieczery. Na stole obok półmisek i kubków srebrnych stały gliniane misy z postnem jadłem; gdy wszystko przygotowane zostało, wszedł do jadalni pan podstoli. Był to męczyzna krępy, niskiego wzrostu, o nieszczerym wyrazie twarzy i wymuszonym

na ustach uśmiechu. Na widok gościa łagodne oblicze starościny spochmurniało.

— Witam pana w moim domu — odezwała się chłodno — a jednocześnie przepraszam, że cierpliwość jego wystawić muszę na próbę: z wieczorą zaczekamy na przybycie jednej jeszcze osoby.

— Kogoż to ten zaszczyt ma spotkać? — zapytał podstoli skwapliwie.

— Biednego pielgrzyma, wydalonego z rozkazu pana w tę noc świąteczną, a którego, stosownie do zachowywanych w naszym domu zwyczajów gościnności, kazałam wyszukać na drodze i do stołu mego zaprosić.

Podstoli zniższał się widocznie, co nie miało uradować niechętnie dla niego usposobionego giermka.

Z obrazu Rafaela.



Chrystus Pan, upadający pod krzyżem.



Alleluja!

Łątki ucichły — i znowu na wieży,
Jak przedtem, rozgłośnie dzwon buja;
A z piersi wezbranej radosna pieśń bieży:
Zmartwychwstał Pan! Alleluja!

I słońce promienniejsze spogląda w około,
I pieśń już skowronek wydzwania;
Po zimie, po długiej, natura wesóło
Rwie się do zmartwychpowstania.

A w sercach i duszach w ten dzień nawet troski,
Zmieniają się w słodką nadzieję,
Zmartwychwstał Zbawiciel, zmartwychwstał syn Boski,
Obawa i smutek topnieje.

Więc coraz to głośniejsze i dalej i szerzej,
Wraz z dzwonu odgłosem dziś buja
Pieśń słodka, co jasną otuchą w świat bieży:
Zmartwychwstał Pan! Alleluja!

Tymczasem Marychna modliła się w duchu o odnalezienie pielgrzyma, jak modliła się niegdyś o szczęśliwy powrót nieobecnego ojca.

Modlitwa jej tym razem wysłuchaną została; ciężkie drzwi dębowe rozwarły się i wszedł do sali wyniosłej postawy pielgrzym z długą brodą i głową zakrytą kapturem zakonnym.

Starościna powitała go uprzejmie i siadając do stołu, wskazała mu miejsce obok siebie po prawej stronie.

— Wiedziałem, dostojna pani, że przestępując próg tego domu, można być pewnym gościnnego przyjęcia — rzekł pielgrzym w odpowiedzi na doznaną grzeczność.

Pod koniec wieczery, gdy biesiadnicy głód już zaspokoili, starościna zwróciła się do pielgrzyma:

— Zwiedziłeś dużo świata — rzekła — czy nie mógłbyś nam opowiedzieć jakiej przygody?

Zadość czyniąc żądaniu temu, pielgrzym zaczął opowiadać dzieje mężnego rycerza, który jadąc na wojnę zamek swój i dziecko jedyne zostawił pod strażą ukochanej małżonki. W ciągu całej wyprawy myśli jego zwracały się z utęsknieniem do osamotnionej towarzyszki. Los nie sprzyjał biednemu rycerzowi; w morderczej pod Warną bitwie zginął cały hufiec jego, zabili pod nim konia, ranne go odarto z pieniędzy. Cudem prawie tylko życie uratować zdołał. Dwa lata spędził w niewoli tureckiej, a drugie tyle po szczęśliwej ucieczce wędrować musiał bez żadnych środków, chory i osłabiony, przez nieznane kraje, żywiąc się tylko jałmużną.

Wreszcie wyczerpany z sił, znękany i strudzony stanął u progu własnego zamku. Nędza i nieszczęścia tak go zmieniły, że go własna służba nie poznała, że odmówiono mu nawet noclegu i wypędzono jak włóczęgę lub złoczyńcę. Zrozpaczony odszedł od swoich na zawsze i czuł, że nic go już nie wiąże ze światem, skoro nawet ukochana żona o nim zapomniała.

Gdy to mówił głos pielgrzyma drżał, a w oczach starościny łzy zabłyśły.

— Czemu — zawołała — rycerz nie postarał się o widzenie się z żoną? Czemu nie przekonał się, czy nie były mylne przypuszczenia jego?

— Jeśli niewiasta — odparł pielgrzym — nie szanowała praw gościnności, ściśle przestrzeganych przez jej małżonka, to pewnie i jemu nie dochowała wiary.

— Gdyby mój mąż, starosta, powrócił do mnie w łachmanach i o kiju żebraczy, niemniej kochającą znalazłby we mnie żonę — mówiła Elżbieta z przejęciem.

— Nikt o tem nie wątpi, szlachetna pani — odezwał się podstoli — musisz się jednak z losem swoim pogodzić, bo jak wiesz, biedny starosta umarł na moim ręku, śląc ci ostatnie pożegnanie.

— Milcz, nieczemny kłamco — zawołał pielgrzym, zrzucając kaptur i habit, pod którym zabłysła rycerska zbroja.

Na ten widok Elżbieta zerwała się z głośnym krzykiem, poznała bowiem ukochanego małżonka.

— Przeniewierco, mówił dalej starosta do zawstydzonego podstolego — uchodź ztąd copędzej; ukarałbym cię bezwzględnie, gdybym nie szanował w domu moim praw gościnności.

— Znieważasz mnie — rzekł podstoli, rzucając staroście rękawicę, na znak wyzwania do walki.

— Nie podejmę jej — rzekł z dumą starosta — z prawyni tylko rycerzami do honorowej staję rozprawy.

Zgnębiony temi słowy, podstoli wyszedł ze zwieszoną głową, a po chwili dla niego z kolei spuszczone most zwodzony, po którym nigdy już nie miał przechodzić.

Wieczorem Marychna dziękowała Bogu za powrót ojca i dodała: „Strzeż go, Boże od wszelkiego złego, broń

od złych ludzi, a niech z serca odpuści podstolemu krzywdy mu wyrządzone, jak odpuścił Jezus Chrystus nieprzyjaciółom swoim Amen.

Wesoła Wielkanoc mieli mieszkańcy zamku w tym roku.
P. Gr.

TESTAMENT DZIWAKA,

POWIEŚĆ

JULIUSZA VERNE'A,

przekład M. D.

(Dalszy ciąg).

Kraj ten nie jest już obecnie dawną pustynią amerykańską. Nizkie zrazu położenie jego wznosi się stopniowo aż do pięciuset stóp nad granicą Colorado. Falisty z jednej strony grunt urozmaicają głębokie lesiste parowy, z drugiej zaś bogate w zieleni stepy ciągną się jak oko zasięganie. Równiny te przed stu zaledwie laty, przebiegane przez dzikich Kanzasów, Oteasów i inne plemiona czerwonoskórych, dziś zmieniły wygląd swój najzupełniej. W miejsce dawnych cyprysów i ponurych sosen, zielenią się teraz miliony drzew owocowych i liczne ich szkółki, a tam gdzie niegdyś ciągnęły się trawą zarosłe sawanny, oczom podróżnego przedstawiają się uprawne pola, cenionego w wyrobie cukru sargo, oraz wszelkich znanych u nas zbóż, których bujne plony podniosły stan Kanzas do rzędu najbogatszych ziem Unii. Na pobrażnym zaś pasie łąk rozkłada się barwny kobierzec trawiastej i liściastej roślinności, których aromatyczna woń nasycza powietrze.

Zatrzymując się więc często na stacyach, od których oddalał się niekiedy o mil parę, by zbogacić swą tekę w nowe studia i szkice, Maks Real przepędzał dzień za dniem tak przyjemnie, że ani się spostrzegł gdy już trzynastego maja stanął w stołecznym mieście Topeka, któremu nazwę tę nadano od gatunku dziko rosnących tam kartoffi.

Kilka godzin wystarczyło podróżnym na konieczny odpoczynek, poczem obaj zwiedzili miasto, którego trzydzieści dwa tysiące mieszkańców trudnią się głównie przemysłem lub handlem i „bussines” (interes) jest dla nich, jako dla prawdziwych Amerykanów, kwestyą więcej niż gdziekolwiek żywotną.

Nie witany ani żegnany przez nikogo wyruszył artysta w dalszą drogę, wczesnym rankiem 14-go maja.

Gdyby zechciał, mógłby tego samego jeszcze dnia stanąć w Fort-Riley to jest u celu swej pierwszej podróży, od którego oddzielało go już zaledwie sześćdziesiąt mil ang. Po cóż jednak miałby przybyć tam przedwcześnie? Czyż nie lepiej korzystać jeszcze z czasu i dogadzać swym upodobaniom artystycznym?

Jak pomyślał tak też zrobił. Na przedostatniej stacyi przed Fort-Riley wysiadł z wagonu ze swym służącym i lekkim krokiem skierował się ku lewemu brzegowi Kanzasu, nie przypuszczając, że może być łatwo narażonym na usunięcie z gry, tak wiele obiecujące.

Miejsce, do którego wypadkowo zaszedł, było jednym z piękniejszych. Na zakręcie biegu rzeki, w silnym oświetleniu, zmierzającego ku zachodowi słońca i głębokich obok cieniach, rozkładał się krajobraz bogaty w grupy drzew i krzewów, a na pierwszym planie wspaniały cyprys, jeden z ostatnich, niegdyś tak licznych, znakomicie odpowiadał ogólnemu nastrojowi.

— A to mi szczęście posłużyło, bodaj trudno o więcej efektowną całość! — woła uradowany Maks i copędzej zabiera się do malowania.

Już pracował dobrą godzinę, cały zatopiony w swem studyum, które postępowało szybko, gdy nagle spoczywający pod drzewem Tommy, dosłyszał tętent daleki i niezrozumiały, jakgdyby liczne stado koni lub bydła pędziło w tę stronę.

— Co to być może — pomyślał, podnosząc głowę, by spojrzeć dokoła.

Łoskot wznosił się z każdą chwilą, aż wreszcie bystre oko Murzyna dostrzegło w dali obłok wznoszącej się kurzawy.

Zaniepokojony w wysokim stopniu podbiega do artysty, wołając:

— Panie, czy słyszysz pan!...

Ale Maks Real, tak bardzo zajął się swą pracą, że nawet na wołanie sługi nie zwrócił zrazu żadnej uwagi.

— Proszę pana! — powtarza wystraszony Tommy, ośmielając się nawet trącić go w ramię

— Co tam takiego, co ci do głowy strzeliło, Tommy? — odpowiada wreszcie artysta i choć zdziwiony niezwykłym zachowaniem Murzyna, nie przerywa sobie pracy, którą ma już prawie na ukończeniu.

— Czy pan nie słyszy nie? — krzyczy wreszcie blizki rozpaczły sługa.

Teraz dopiero artysta ogląda się, wracając do rzeczywistości. Czy nie słyszy?... Ależ musiałby być głuchym jak pień, gdyby nie słyszał tego łomotu strasznego, od którego aż ziemia drży pod nim.

Szybkim więc ruchem odkłada na bok paletę i pendzle i odskakując nieco w bok, widzi jak wprost ku niemu pędzi cwałem do rzeki kilkutyśięczny tabun koni i mułów.

Pasące się dziko na stepach zwierzęta te były niegdyś pod opieką rządu, ciągnącego z ich sprzedaży znaczne korzyści, lecz od czasu wejścia w modę bicykli i automobili mniej znajdują kupujących, więc zostawione same sobie do reszty zdziczały, i przebiegają gromadami nietylko okoliczne prerie, ale i pola uprawne. Nic się przed siłą ich napaści oprzeć nie może

Nie było ani chwili do stracenia. Zostawało zaledwie dość czasu, by z pomocą Murzyna Maks zdążył zabrać swe przybory malarskie i ratować się co najprędzej ucieczką.

Ale mimo, że zarówno pan jak sługa pojawszy groźne niebezpieczeństwo, nóg swych nie żałowali, w kilka zaledwie minut nie było już dokoła nich wolnej przestrzeni, i byliby niechybnie zginęli pod kopytami z szaloną gwałtownością pędzących rumaków, gdyby nie udało im się w samą jeszcze porę wdrapać na gałęzie rozłożystego orzecha, jedyne większego drzewa, znajdującego się w pobliżu.

Tu przynajmniej byli już bezpieczni, chociaż musieli czekać długo, zanim wreszcie rozhułkane stepowce przebiegły, pędząc dalej wzdłuż rzeki. Stratowane ich kopytami błonia przedstawiały straszny obraz zniszczenia.

Maks Real spojrział na zegarek. Była już godzina szósta.

— Teraz schodźmy prędko — zawołał.

Ale wystraszony Tommy ani myślał się ruszyć z gałęzi, której się trzymał oburącz.

— Schodźże, mówię ci — powtarza artysta — bom gotów jeszcze z tem wszystkiem przegrać sześćdziesiąt milionów dolarów, a w takim razie nie będę cię już nigdy mógł kupić na własność.

Były to wszakże żarty tylko, w rzeczywistości nie miał jeszcze racyi obawiać się opóźnienia. Tak nawet był o to spokojny, że zamiast podążyć na stację, aby szybciej przejechać koleją, szedł pieszo, kierując się przy zapadającym mroku błyszczącymi z dala światłkami grodu.

W ten sposób przebył już bez żadnej przeszkody pierwszy partner ostatnią część pierwszej swej podróży w grze Hyperbona, i właśnie była ósma na ratuszowym zegarze w Fort Riley, gdy spoczął w miejscowym hotelu „Jackson,” starając się znaleźć odpowiedź na pytanie, które sam sobie stawiał, a mianowicie dla czego zmarły dziwak wybrał to,

nie inne miasto, jako miejsce główne w ósmej przedziałcewej gry.

— Niezawodnie — rzekł sobie wreszcie, — że jeżeli Kansas zajmuje geograficznem swem położeniem centralny punkt Unii, to Fort Riley może być uważane za serce tego Stanu. I nie pierwszy Hypperbone zwrócił na to uwagę, jeżeli dla zaznaczenia tego wzniesiono pod miastem piękny pomnik śpiżowy.

Nazajutrz Maks Real stawiał się jeszcze przed dwunastą w biurze telegraficznym po oczekiwaną depeszę.

— Nazwisko pana? — zapytał urzędnik.

— Maks Real.

— Pan Maks Real z Chicago?

— We własnej osobie...

— Jeden z partnerów wielkiej gry William I. Hypperbone'a?

— Tak jest — potwierdził artysta, który z wielkim żalem nie mógł już teraz zachować swego incognito.

Wiadomość, że znajduje się w mieście tak ważna osoba, rozeszła się szybko, jak po drutach telefonu, i gdy w chwilę potem Maks wracał do hotelu, tłum ciekawych witał go głośnie mi okrzykami.

— Dobrze przynajmniej zrobiłem, że m kazałem depeszę przysłać sobie do hotelu, bo drugi raz jużbym chyba nie zniósł takiego obłędzenia — myślał, zamykając nareszcie drzwi swego pokoju. — A teraz trochę jeszcze cierpliwości zanim się dowiem, jaką wiadomość przyniesie mi depesza, i gdzie mię znów kapryśny los wyśle? ..

Tom Crabbe w podróży.

Jedenaście — suma z pięciu i sześciu, oto rezultat rzucenia kości na rachunek drugiego partnera. Rezultat wcale niezły, któremu to jedno tylko byłoby do zarzucenia, że skazywał Toma Crabba, a z nim jego opiekuna, do niebdalekiej podróży. Bowiem Stan Teksas naznaczony losem gry, jeden z najobszerniejszych ze wszystkich ziem Unii, przenoszący obszarem całe terytorium Francji, leżąc na południo-zachód państwa, graniczy już z Meksykiem, którym tworzył nawet jedną całość do 1835 roku, to jest do zwycięstwa generała Huston nad generałem Santa Anna.

Podróż z Chicago do Teksas może odbyć drugi partner wedle dwóch planów, a mianowicie: albo udać się do Saint-Louis i ztamtąd parowcem na Mississippi dosięgnąć Nowego Orleanu i dalej po wodach zatoki Meksykańskiej aż do portu Galveston, z którego już krótka tylko pozostaje przeprawa do Austin, stolicy Teksasu; albo też korzystać z kolei żelaznej przeprowadzonej przez Illinois, Tennessee, Mississippi, a następnie jeszcze dalej koleją lub też parowem wzdłuż wybrzeża morskiego.

Naturalnie Tom Crabe nie ma w tem zdania żadnego, więc John Milner decyduje się sam korzystać, o ile się da z kolei żelaznej, która w nim budzi więcej zaufania względnie do pospiechu, jaki jest konieczny, gdyż już 16-go maja muszą bądź co bądź stanąć na miejscu wyznaczonem im przez los.

— A więc — pyta go kronikarz z Freie Presse w dniu uagnienia w Sali Audytoryum — kiedy pan myśli wyjechać?

— Dziś zaraz, wieczorem.

— Czy kufrы już upakowane?...

— Mój kufer, drogi panie, to Tom Crabbe, który nie może być nigdy pusty.

— A cóż on mówi?

— On?... Nic zupełnie! Dla niego jedyne znaczenie mająienne posiłki. Gdy więc dziś spożyje swój szósty ostatni z rzędu, mógłbym go oddać na bagaż, gdybym się nie obawiał wysokiej nadwagi.

— Mam przecucie, że właśnie on będzie najszczęśliwym w tej grze — rzekł dziennikarz.

— I ja mam tę nadzieję...

— Zatem szczęśliwej podróży!...

— Dziękuję.

Gdyby nawet opiekunowi Crabba zależało na zachowaniu incognito, byłoby mu prawie niemożliwem dokazać tego, bo jakże ukryć niezwykle rozmiary siłacza, które muszą wszędzie, gdzie się ukaże, zwracać na siebie uwagę.

Skoro więc wyjazd jego z Chicago nie pozostał w tajemnicy, mnóstwo osób zebrało się wieczorem na dworcu kolei. Każdy chciał widzieć go zbliska, gdy wsiadał do wagonu pod nieustanną opieką Johna Milnera, sam niby pień drzewa głuchy na żegnające go okrzyki.

Pociąg ruszył z miejsca wolniej, zdawało się, aniżeli zwykle.

— Nic dziwnego — rzekł ktoś z obecnych — dodatek ciężaru takiej wagi musi dać się odczuć nawet parowej maszynie.

Jechano przez noc całą z małemi tylko przystankami, dalej a dalej aż do Fulton, leżącego na ostatnim krańcu Illinois, przy granicy Kentucky.

Zarówno dla Johna Milnera jak dla Crabba obojętną było rzeczą, jak się przedstawiał kraj, który przebywali.

Niezawodnie na miejscu ich Maks Real lub Harris T. Kymbale, nie omieszkaliby zwiedzić Nashville, obecną stolicę Stanu, i pobliskie pola Chattanooga, gdzie zwycięzki Sherman otworzył zjednoczonej armii przejście dalej ku południowi. I czyż nie chcieliby również, pierwszy jako artysta, drugi w charakterze dziennikarza zboczyć nieco na wschód, by poznać Memphis, jedyne większe miasto, jakie posiada Stan ten na lewym brzegu Missisipi, które mimo swej nazwy zapożyczzonej u starożytnego Egiptu, niedawnej sięga przeszłości, lecz rozkłada się pięknie na brzegu tej wspaniałej rzeki, której wody zdobią tu liczne urocze wyspy.

Każdy inny podróżny zastanowiłby się też niezawodnie nad tem, dla czego w tym punkcie tak oddalonym od morza rząd zbudował arsenał i warsztaty okrętowe, dziś stojące pustkami, choć znalazłby jedyną na to pytanie odpowiedź, że i w Ameryce zarówno jak wszędzie na świecie popełniają ludzie omyłki.

Nie zatrzymując się więc nigdzie, jechał drugi partner jak zawsze obcjętny na wszystko, co nie odnosiło się do jego zwykłych posiłków dziennych z towarzyszem również obojętnym na kwestye, nie mające nic wspólnego z podniesieniem cyfry jego dochodów.

Tak minięto Springs i Grenadę, aby zatrzymać się na krótką godzinę w Jackson, głównem mieście tego niezbyt obszernego terytorium, gdzie wyłączne oddanie się mieszkańców uprawie bawełny opóźniło znacznie rozwój przemysłowy i handlowy.

Zawiadomiona naprzód publiczność miasta o przejeździe sławnego siłacza, nie omieszkała pośpieszyć na stację, by podziwiać wielkość jego postaci i potężne pięści, których nie żartem używać umiał.

Wprawdzie brakowało mu jeszcze wiele do owych dziewięćdziesięciu stóp, które do czasu naukowych badań Cuvier'a przypisywano pierwszemu człowiekowi, Adamowi, nie wytrzymał też ósmastu stóp legendowej miary Abrahama, ani nawet dwunastu stóp Mojżesza, zawsze jednak był to niepowszedni okaz człowieka.

Wśród zebranych tłumów znalazł się też uczony, nazwiskiem Kil Kirney, który pośpieszył wziąć dokładną miarę sławnego siłacza amerykańskiego, poczem uważał się w obowiązku wypowiedzenia zaraz na miejscu swego krytycznego o nim zdania.

— Panowie — zabrzmiał na peronie dworca donośny głos Kil Kirneya. — Poświęciwszy życie moje statystycznym badaniom nad wymiarami wzrostu największych ludzi, jacy kiedy żyli na świecie, zdołałem ułożyć listę, wedle miary metrycznej, olbrzymów z ostatnich paru wieków.

(d. c. n.)

ZE ŚWIATA.

Butelka obsiana rzeżuchą. — Leniwe ptaki. — Herbata cesarska.

Pożyteczny i ładny figielek ogrodniczy podajemy dziś naszym czytelnikom za „Bluszczem.” Zwyczajną flaszkę od wina obwinąć równo cienkim kawałkiem waty, zwilżyć silnie, następnie napełnić flaszkę wodą i postawić ją na talerzu. Zwilżoną watę gęsto osypać nasieniem rzeżuchy, a w środek flaszki wkłada się głęboko trzy knoty zrobione z nitek wełnianych, aby na zewnątrz opuszczały się na watę i zaopatrywały ją ustawicznie w wilgoć z flaszki, która winna być zawsze napełniona wodą.

Po upływie 3 do 4 ch dni flaszka cała się zazieleni i tworzy ładną i pożyteczną ozdobę, gdyż, kiedy rzeżucha w skutek zbyt silnego wzrostu staje się brzydką, obcina się ją nożyczkami i używa jako aromatyczną przyprawę. Nasienie rzeżuchy jest bardzo tanie, można więc w ten sposób wiele flaszek obsiać.

Czy zwierzęta bywają skłonne do lenistwa, które niestety tak często spotykamy u ludzi. U zwierząt domowych, zaprzęganych do pracy przez człowieka, np. wołów i koni, widzimy często różnice w ochocie i skwapliwości do ciągnięcia ciężarów lub szybkości ruchu. Jedne napozór równie silne, potrzebują bicia, drugim wystarcza zachęta słowna, cmoknięcie i t. p. Ale przypatrzmy się ptakom, żyjącym na swobodzie. Okazuje się, że niektóre ich gatunki, a nawet pojedyncze okazy zdradzają rodzaj lenistwa, które wykazuje mniejszą ich zapobiegliwość przy sianiu gniazd, wysiadzania jaj i hodowaniu piskląt.

Zdarza się często, że ptaki dla oszczędzenia sobie trudów, zajmują na wysiadzanie jaj gniazda pokrewnych lub innego gatunku ptaków, i tak: wróbel np. zabiera gniazdo jaskółki, ptaki żywiące się orzechami wypędzają z siedzib wiewiórki, kania zabiera gniazdo wrony.

Najczęściej tego rodzaju nadużyć dopuszcza się odstępny gatunek jaskółek, gnieźdzących się w szczelinach murów lub na dzwonicach; wypłaszają one z gniazd samiczki wróbla, które tak uporczywie drażnią i prześladowają, że im dobrowolnie ustępują miejsca. Gdy same zmuszone są budować gniazdo, wtedy porywają wróblem w locie znoszone w dziobkach materyały.

Inne ptaki zdradzają lenistwo swoje niedbałą budową gniazd. Szpak np. składa w tym celu bezładnie żdźbła słomy i trawy w wydrążeniach drzew. Są znowu ptaki, które nieodpowiednie miejsce obierają na gniazda, nie osłonięte ani od palących promieni słonecznych, ani od wiatru i deszczu tak, że silniejsza ulewa splukuje owe gniazda i unosi z nich pisklęta. Mamy jeszcze ptaki, które budują gniazda tak szczupłe, że potomstwo swoje, gdy trochę podrośnie, przenosić muszą w wydrążenia drzew. Niektóre wreszcie gatunki tych skrzydlatych stworzeń nie zadając sobie tru-

du siania gniazd, składają jaja pod kamieniem, pod murem, w pniach zmurszałych drzew i t. p.

Dudek najprzód wyszukuje dziupli drzewnych, gdy jednak wydrążeń żądanych nie znajdzie, umie o własnych siłach zbudować dla przyszłych piskląt schronienie, znosząc na ten cel trawę i nawóz.

Wiadomo powszechnie, że są i takie ptaki jak znana wszystkim kukułka, która jaja swoje składa wprost w obce gniazda, pozbywając się tym sposobem obowiązków wysiadzania i karmienia potomstwa. Ta chyba jest ze wszystkich ptaków najlekkoomyślniejsza i najleniwsza.

Najdoskonalszy gatunek herbaty dostarczany tylko bywa na stół cesarza chińskiego. Produkt ten, rozumie się o wiele lepszy od wszystkich gatunków herbaty znanych w Europie, nazywa się Pou Eurl, pochodzi bowiem z miejscowości Pou Eurl Fou czyli „Siedmiu pagórków herbaty.” Cesarz Chiński, cesarzowa, ich dzieci używają za napój wyłącznie owej aromatycznej rośliny, uprawianej wedle starodawnych, wiernie zachowywanych zwyczajów. Otrzymuje się ją z nasienia i to może podnosi jej wartość; ziarenka mieszają się z piaskiem i na wiosnę sadzą w doniczki napełnione ziemią starannie przesianą, a z wierzchu przysypaną plewami ryżowymi. Następnego roku, również na wiosnę, gdy kiełki roślin dosięgną 10 do 15 centymetrów wysokości, wyjmuje się flance z doniczek i sadi w odległości dwóch metrów jedno od drugich na stokach gór, rozłożonych w kształcie tarasów.

Gdy pora roku zbyt sucha, polewa się flance wodą, w której rolnicy ryż zwykle moczą, grunt dokoła nich piele się starannie, a na zimę delikatne rośliny przykrywa się słomą. Po trzech latach, gdy herbata już w krzaczek wyrośnie, obcina się ją kulisto a umiejętność Chińczyków w pielęgnowaniu i przycinaniu kiełków latorośli, nadaje liściom smak tak wyborny, że przy rozgraniczaniu Tonkinu i Chin pełnomocnicy chińscy, prowadzący w tym względzie z Francją układy, troszczyli się przedewszystkiem o zachowanie dla cesarza miejscowości, na której rośnie niezrównana w aromacie herbata.

NOWE KSIĄŻKI:

Archeologii biblijnej ks. M. Godlewskiego z mapami Palestyny i licznymi rycinami — zeszyt 8-y.

Szczęście i Niemasz to jak zgoda, dwie małe powiastki przez J. Szyra i Wł. Izdebską.

„Z ziemi pagórków leśnych, z ziemi łąk zielonych.” książka zbiorowa poświęcona pamięci Adama Mickiewicza przez najbliższych ziomków wieszczą.

Z pieśni naszych. Wybór poezji, ułożyła C. Niewiadomska. Nakład księgarni S. Lisowskiej Marszałkowska 101.

I ja już czytam. 50 powiastek dla małych dzieci z rysunkami, przez znaną czytelnikom Wieczorów autorkę licznych prac dla dzieci, Maryę Weryho.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rocznie z odnoszeniem do domu rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna

W Austrii rocznie zlr. 6. — W Prusach: rocznie mar. 12.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

TREŚĆ: W Wielką Sobotę (rycina). — Róża bez koleców, opowiadanie osnute na tle przyrody tatrzańskiej przez Zofię Urbanowską (z ryc.) — Gościnność, przez P. Gr. — Chrystus Pan upadający pod krzyżem (ryc.) — Alleluja, wiersz (z ryc.) — Testament dziwaka, powieść Juliusza Verne'a, przekład M. D. — Ze świata. Dodatek: — Na Zmartwychwstanie, wiersz przez N...a. (z ryc.) — Wielkanocny placek, przez Maryę Beldowską. — Trzy listy, komedijka w jednym akcie. — Łamigłówki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. Dodatek książkowy: Pojednani, powieść z czasów Napoleona I-go przez Teresę Jadwigg.

Redaktorka Ludwika Hauke. Дозволено Цензурою. Варшава 25 Марта 1900 г. Wydawczyni Marya z Chomętowskich Balińska.

W drukarni Noskowskiego, Warecka Nr. 15.



Do kościoła dzieci spieszą...

Na Zmartwychwstanie.

Huczą dzwony ponad ziemią
Pieśń radości, pieśń wesela:
Pan zmartwychwstał,
Świat odzyskał
Swego Boga — Zbawiciela.

Słońce kruszy lodów pęta,
Z łona ziemi kwiat wystrzela,
Szmer radosny,
Oddech wiosny
Wita Boga-Zbawiciela. —

Ptaszki nucą wśród obłoków
Że to wielka dziś niedziela,
I wśród ludzi
Radość budzi
Zmartwychwstanie Zbawiciela.

Do kościoła wszyscy spieszą,
Gdzie Bóg łask im swych udziela.
I pieśń leci
Dobrych dzieci
Do stóp Boga-Zbawiciela.

N...a.!

WIELKANOCNY PLACEK.

— Pomogę mamusi przy pieczeniu ciast, czy mamusia pozwoli? — mówiła Terenia, widząc matkę zajętą przygotowaniem do święconego.

— I owszem, moje dziecko, mam dziś dużo zajęcia, na początek weź się do przebrania tych oto rodzynek.

— A teraz co mam robić? — spytała trochę później odnosząc mamie rodzynek.

— Teraz czeka cię najważniejsza robota, z ciasta, które tu odłożyłam, mają być trzy placki przekładane, dla was trojga na tych trzech małych blachach, jeden

będzie z pomarańczami, drugi z migdałami, trzeci z powidłami. Potrafisz to zrobić, nieprawdaż?

— O, potrafię doskonale, widziałam przecie jak mamusia robiła.

Mama wyszła do kuchni a Terenia zabrała się do roboty; z początku wszystko szło dobrze, na każdą blachę położyła warstwę ciasta, na jednej ułożyła plasterki pomarańczy i przykryła ciastem.

— To będzie mój placek — powiedziała sobie — przekładany migdałami będzie dla Stasi, a dla Kazia...

Nagle psotnej dziewczynce nowa myśl przyszła do głowy.

— Trzeba mu koniecznie figla wypłatać!...

Nie namyślając się długo, pobiegła do kuchni, przyniosła kilka tartych kartofli i ułożyła je między dwie cienkie warstwy ciasta i uradowana z pomysłu, przyglądała się swemu dziełu.

— A może ten placek dostanie się Stasi? mniejsza o to, bylebym ja się nie pomyliła, trzeba go ubrać z wierzchu migdałami dla lepszego odznaczenia. Ach, jak to będzie zabawne, gdy znajdą kartofle zamiast powideł!

I złośliwa dziewczynka śmiała się serdecznie na samą myśl rozczarowania, jakie spotka brata lub siostrę.

W wielką sobotę po obiedzie, mama ustawiła święcone na długim stole, a na oddzielnym stolczku dla dzieci stała jedna babka ładnie ubrana, trzy małe mazurki i upieczone przez Terenię placki.

— Który też placek mnie się dostanie — mówiła Stasia — może ten ubrany migdałami.

— Mnie wszystko jedno jak on ubrany — rzekł Kazio — chciałbym tylko znaleźć w środku pomarańcze.

— Ty dbasz tylko o jedzenie, czy zapomniałeś, że przyjedzie ciocia z Antosiem i Walcią? przecież przyjemniej poczęstować ich ładniejszym plackiem.

W parę godzin później przyjechała ciocia i dzieci wybiegły uradowane na powitanie swych małych gości, z którymi miały całe święta przepędzić. Wieczór mijał wesoło, dzieci śmiały się, bawiły, nazajutrz obudziły się w jak najlepszym usposobieniu, ciesząc się myślą dalszej zabawy. Gdy miano siadać do święconego, mama zbliżyła się do dzieciennego stolczka:

Babka i mazurki należą wspólnie do was wszystkich, plackami podzielcie się, ten, w którym widzę kawałek pomarańczy będzie dla Kazia, ten drugi dla Stasi, a ubrany migdałami dla Tereni.

Dziewczynka zaczerwieniła się gwałtownie.

— Mamusiu, możeby Stasia wzięła ten placek?

— Nie, moje dziecko, wolę abyś ty go miała.

Teresia nie śmiała nalegać, lecz jej dobry humor znikł odrazu: siedziała nachmurzona, zakłopotana, blizka płaczu. Kazio i Stasia tymczasem częstowali gości nie zapominając o sobie.

— Nie zaczęłaś swego placka, Tereniu — rzekła Walcia.

— Nie chce mi się.

— Czy też równe dobry jak tamte? — spytał Antoś.

— Naturalnie, co was obchodzi mój placek! — odparła niecierpliwie.

— Ależ nie gniewaj się, Tereniu, nie myślę go zabierać.

W tej chwili zbliżyła się do nich ciocia.

— Jakże się udało pieczywo Teresi, poczęstuj nas swym plackiem.

— Ja nie mogę cioci poczęstować — szepnęła zawstydzona.

— Cóż to ma znaczyć?

— Niech się ciocia nie pyta.

I nie mogąc też powstrzymać wybiegła z pokoju.

Mama nie gniewała się na nią, powiedziała tylko, gdy wieczorem znalazła się sama z Terenią:

— Niechże ta przygoda odzwyczai cię od płatania złośliwych figlów, które są dowodem złego serca, a często przeciw nam samym się obracają.

Marya Bełdowska.

TRZY LISTY.

Komedyjka w jednym akcie.

(Dokończenie).

Leos (który stojąc przed oknem wciąż przypatrywał się listom, z radosnym okrzykiem). Już wiem! już mam!

Ańdzia. Co wiesz? co masz?

Genia. Wiesz kto napisał te listy?

Leos. Tego jeszcze nie, ale już wiem najdokładniej, że wszystkie trzy jedna i ta sama osoba pisała.

Józio (żywo). To nieprawda!

Genia. Po czem poznajesz?

Leos. Po ortografii.

Ańdzia. Jakto? cóż może być takiego szczególnego w ortografii, żeby aż za wskazówkę służyło?

Leos (śmiejąc się). A właśnie jest coś bardzo szczególnego: w każdym z trzech listów znajdujemy słowo przepaszam — a wiecie jak napisane? zawsze przez sz.

Ańdzia i Genia (zagladając w listy, które Leos rozkłada na stole). Ha, ha, ha! to prawda!

Józio (żywo). To nie może być! (miarkując się), to jest... chciałem powiedzieć, że w tem nie ma nic szczególnego, przecież każdy może się omylić.

Leos. No, darujesz — ale trudno przypuścić — żeby taka omyłka trafiła się odrazu w Łodzi, Częstochowie i Lublinie trzem różnym osobom.

Ańdzia. U mnie, życzliwy napisane przez: rz. Ej, doprawdy, że wszystkie te listy musiała komponować jedna głowa i to nie tęga.

Józio (z mimowolnym gniewem). O, nietęga! zapewne! Ale tybyś i tego nie potrafiła!

Leos (patrzając mu w oczy). Ej Józiu, ty coś bardzo się zapalasz! tak to wygląda, jakbyś był sam autorem wszystkich trzech listów.

Józio (zakłopotany). Ale, cóż znowu, ani mi się śniło.

Genia (kłasicząc w ręce). Ale on, on z pewnością. To przecież jego prima aprilis!

Ańdzia (żartobliwie). I jego ortografia. Pamiętam wybornie, że w ostatnim dyktandzie napisał „przekonanie” przez sz — przepraszam, pochodzi też z tej samej rodziny.

Genia. Przegrałeś zakład! bo teraz już pewno nie masz żadnego prima aprilis.

Leos (śmiejąc się). Widzisz, jak to źle pisać taką osobliwą ortografią, inaczej nie bylibyśmy pewnie tak prędko doszli prawdy.

Józio. Ale i tak wytrzymałem was całe pół godziny, możecie też przyznać, że nie lada kto zdobyłby się na taki pomysł! Popisałem sam listy, dołączyłem adresy

Wicio Strzeliski poprosił swoich kolegów, którzy mają rodziców lub krewnych w tych trzech miastach, żeby się zajęli nadesłaniem wam tych listów na 1-go kwietnia.

Ańdzia. Istotnie, plan znakomicie obmyślany, tyle cię trudu i zachodu kosztował; jaka szkoda, że taka mar-na rzecz, jak ortografia, całkiem ci szyki popsula.

Józio. Ej, bo się pomyliłem, (z fantazyą). Ale zresztą ortografia to głupstwo, aby koncept był dobry!

SCENA 5.

Ciż sami, Kasia.

Kasia (wchodząc). Pani prosi na podwieczorek do salonu, bo przyszli państwo Lasoccy.

Genia. Ach, ciocia! wujcio! chodźmy prędko.

Leos (zbierając listy). Ale zabierzmy nasze listy; pokazemy im, uśmieją się.

Józio (zastępując im drogę, zmieszany). Oj, nie, nie! nie pokazujcie, moi drodzy.

Ańdzia. Jakto? dlaczego? nie chcesz się przed nimi pochwalić swoim „wybornym” pomysłem.

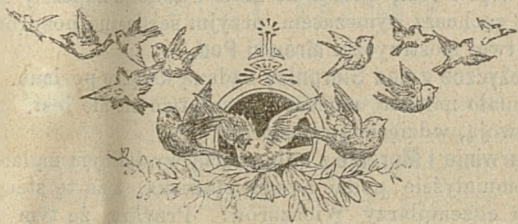
Józio. Kiedy bo... to: przepraszam — będą się śmiać ze mnie.

Leos (żartobliwie). Ale co tam, ortografia to głupstwo, byle koncept był dobry.

Józio. Nie, moi drodzy, naprawdę — nie róbcie mi takiego wstydu — pozwólcie mi spalić te listy, a ja za to tak się wezmę do nauki, że od dziś za rok napiszę już całkiem bez błędów.

Leos (śmiejąc się). No, na tak świetnych warunkach, ustępujemy — takiego interesu odrzucić niepodobna.

Ańdzia (wesół). Tylko pamiętaj: nie zrób nam tym razem prima-aprilis. (wszyscy śmieją się i wychodzą).



ZAGADKA.

Powiedzcie, czy znacie malarza,
Co bez farb portrety wnet stwarza?
Maluje wciąż szybko a wiernie,
Lecz za to na krótko niezmiernie.
A kędy wam wdzięku poskąpi,
Tam próżność go ludzka zastąpi.

ZAGADKA KRYSTAŁOWA.

Choć ma nazwa brzmi tak skromnie,
Lecz swojskością tchnie.
Któż nie słyszał kiedy o mnie?
Któż z was nie zna mnie?

Moje dźwięki istne złoto,
Każdy słucha ich z ochotą,
Brzmia radością i tęsknotą
Choć to skoczny ton.
W innym kształcie przystrojony,
Przyjdę witać was,
Gdy nadejdzie upragniony
Wielkaocny czas.

Zawsze każdy przyznać gotów,
Że wśród różnych bytu zwrotów,
Jakikolwiek kształt mi dano,
Mazowieckie moje miano
Mile wszystkim brzmi!

ŁAMIGŁÓWKA LICZBOWA.

Pomiędzy liczby: 1, 2, 3, 4, 5, 6, 7, 8, 9 wstawić, nie zmieniając ich porządku jak najmniejszą ilość znaków arytmetycznych, to jest + — × : (), w ten sposób, aby po wykonaniu wskazanych przez te znaki działań wypadła liczba 100.

Przykład przy użyciu dziewięciu znaków.

$1 + 2 + 3 + 4 + 5 + 6 + 7 + (8 \times 9) = 100$, ale trzeba wstawić jak najmniej znaków.

ŁAMIGŁÓWKA KRYSTAŁOWA.

Witold z Mazowsza dla swoich kolegów.

1. Spółgłoska.
2. Przeciąg czasu.
3. Port na wyspie Krecie.
4. Miasto w Zanzibarze.
5.
6. Niebezpieczny żeglarz.
7. Objaw przestrachu.
8. Żywy.
9. Samogłoska.

Rząd środkowy oraz środkowe litery złożyć mają nazwisko muzyka kompozytora polskiego.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 13.

Szarady: Nie — za — po — mi — naj — ka.

Zagadki: Trop — port.

Arytmografu:

C
L i s
M u c h a
M e c h l i n
M a j m a c z y n
W e z u w i u s z
L u d o m i r
K a d y x
M a k
b
A r a
O r z e ł
E u t e r p e
P y t a g o r a s
K r a s i Ń s k i
G a b r y e l
K o w n o
N i l
e

Łamigłówniki w trójkącie:

W i l n o
I b i s
L i s
N a
O



Skrzynka do listów.

Zgrzybiałą Staruszkę zapytujemy, czy otrzymała nasz list?

Może Wieszcza przysię nam inną łamigłównikę, bo tej drukować nie możemy.

Kazia trafnie rozwiązała szaradę, a mamy nadzieję, że nie poprzestając na pierwszym odezwaniu się, zechce w dalszym ciągu obszerniej do nas pisywać z dalekich stron, w których zamieszkuje.

Dobre rozwiązania zadań, jak również nowe zadania przez siebie ułożone nadesłali: Wróbelek z nad Niemna, Nadwartość Józef T. z Zakopanego, Archimedes, Lewkonja i Switezianka z nad Switezi, Jadzia M., Lilijska z ul Foksals, Gustawa D., Pod. z Wiśniowczyka, Zosia i Jadzia R., Jodetka, Marzycielka.

W dalszym ciągu otrzymaliśmy jeszcze rozwiązania labiryntu Transwaalskiego z pominięciem jednego miasta od: Józefa H., Edwarda B., Miechowity i Wiejskiej Kaliny.

Niezabudce z nad Białej Przemszy. Chętnie zastosowałabym się do twego życzenia i obdarzyła cię długą, bardzo długą odpowiedzią, gdyby (kiedyż bez tego małego słówka obyć się można) nie brak miejsca, czyli raczej ściśle ograniczenie tegoż dla mojej korespondencji. Muszę się ścieśniać, bo inaczej zapisałabym cały dodatek, a gdzież powiastki dłuższe i krótsze, pogadanki i wierszyki, a wreszcie szarady i łamigłówniki? Za miłe słowa, które w twym liście wyczytałam, jako też i za wiadomości o twym rodzinie, bardzo ci dziękuję. Przeczytaj artykuł o żywych obrazach w Nr. 8 Wieczorów, znajdziesz tam wiele rad i wskazówek.

Moja dobra Wróżka Leśna, gdyby nie powody, które przed chwilą wymieniałam w odpowiedzi dla Niezabudki, odwzajemniłabym ci się równie długą i sądę, że równie miłą odpowiedzią, jak miłym był list, który od ciebie otrzymałam. Ale muszę być zwię-

złą, więc dziękuję ci, pamięci twej się polecam i pozdrawiam serdecznie wraz z Zawieruchą. Pseudonimów waszych zdradzać nie mogę, a właściwego imienia i nazwiska panienki, o którą zapytujesz sama nie znam.

Guci M. Pierwszy twój list, jak już wspomniałam, musiał zaginać, jeżeli nie otrzymałaś odpowiedzi, bo mnie o zapomnienie nie możesz posadzać i na wszystkie wasze listy z przyjemnością odpisuję. Gdy chodzi o korespondencje między nami, o zezwoleniu z mej strony mowy być nie może, lecz tylko przyjacielska poręba, abyście się do mnie zawsze odzywały, gdy tylko po temu przyjdzie ochota, lub potrzeba.

Od Pod. z Wiśniowczyka rub. 5 na Kolonie Letnie otrzymałmy. Zadanie konikowe rozwiązywać trzeba przechodząc od sylaby do sylaby według ruchu konika w szachach; w Niteczce Aryadny sylaby rozstawiają się w kwadracikach, według dowolnie obranego planu, bacząc tylko, aby się linie nie krzyżowały. „Orla Skala” wyczerpana, może wybierzesz inną książkę.

Białemu Krukowi za ładną kartkę bardzo dziękuję i chętnie zaliczać cię będę do moich korespondentów, nie daj tylko zbyt długo czekać na drugą odezwę.

Nie napisałaś, **Fasolko**, w jakim jesteś wieku, więc nie mogę orzec jak mam twoje pismo ocenić, a lata ważną odgrywają w tem rolę. Co za dobre uważa się dla 7- o lub 8- o letniej dziewczynki, w starszej panience chwalić nie można. „Wspomnienia Haliny” nabyć można w Redakcyi, cena dla naszych czytelników kop. 20 z przes. pocztową.

Już cię pokochałam mój mały **Sybiraku**, przeczytawszy krótkie, a rzewne słowa, któremi po raz pierwszy odezwałeś się do mnie. Pismo twoje nie tylko dobrem, ale ładnem nazwać można, śmiało do konkursu stanąć powinieś, pospiesz się tylko z przysłaniem twej próby, bo termin upływa.

Bardzo dobrą jesteś **Wiejska Kalino**, że nie dajesz mi czekać zbyt długo na swoje listy. Styl twój żywy i ciekawych wiadomości wiele, a częsta wymiana myśli zaznajamia nas coraz lepiej i zbliża do siebie. Pensa, na której jesteście znam dobrze, bo miałam tam kilka znajomych panienek. Pomimo chęci nie mogę spełnić twego życzenia, by ci podać swe imię, dla was drodzy moi byłam, jestem i pozostać muszę tylko „Jaskółką.” Gołąbka bardzo jest rada, gdy ją kto wspomina, miewa się doskonale, zimę spędza w Warszawie i jest już poważną matką trojga ślicznych dzieci.

Zosia i Jadzia R. dobrze rozwiązały wszystkie zadania, a mam nadzieję na przyszły raz doniosą mi coś więcej o sobie.

Czytujesz moje odpowiedzi, a nawet z przyjemnością, jak mi o tem sama donosisz **Biała Stokrotko**, a nie zauważyłaś dotąd, że lubię, gdy mi donosicie o wszystkim co was zajmuje, cieszy lub smuci, a gdy listy wasze czytam — nie nudzę się nigdy. Pamiętaj więc o tem, pisząc do mnie i donosząc z zupełną śmiałością, co tylko zechcesz, tymczasem przyjm serdeczne pozdrowienia dla siebie i twej siostrzyczki **Mrówki Pod**.

Różyczce z nad Sierpnicy żadaną książkę posłano. Do konkursu śmiało należeć możesz, pismo twe złe nie jest. Za serdeczność twoją, wdzięczną ci jestem.

Barwinie i Morelce z miłą chęcią wysłałabym żądane książki, ale zapomnieliście podać swego nazwiska, a na tę stację posyłam kilka egzemplarzy Wieczorów. Przykro, że tym razem nie mogę do was dłużej napisać.

Marzycielce. Zechciej się zgłosić wprost do Redakcyi.

Mohortowi. Liście i kwiaty najlepiej zasuszać między grubą bibułą pod prasą, lub ciężkimi książkami. Zaginiony numer posłano. O nuty do okaryny zapytaj w magazynie instrumentów muzycznych.

Za liczne życzenia świąt wesołych, które otrzymałam od moich kochanych korespondentów dziękuję i nawzajem życzę, abyście czas świąteczny przebyli zdrowo i wesoło, zając się (byle nie za wiele) smaczne babki i mazurki.

Jaskółka.